WIONOKRĄG

TYGODNIK KULTURALNY

UKAZUJE SIĘ Z „NOWINAMI RZESZOWSKIMI"
Nr 49 (115)
Rok III
8 XII 1963 r.

Niedziela, upalne przedpołudnie, lato w tym roku gorące, jak żadne od początku wojny. Łąką, pomiędzy pokosami schnącego siana, ku domkowi Szumskiego, który w upale wydawał się kurczyć jak suszony grzyb, szła Teresa-Juanita. Taki pseudonim sobie przybrała, chociaż to z początku nie bardzo podobało się Szumskiemu, powiadał, że trochę zbyt ekscentryczne, pseudonim żołnierza z podziemia powinien być niepozorny, jak pospolite nazwisko albo imię, ale nie upierał się: „Bądź Hiszpanką, skoro tak ci się podoba" — rzekł i na tym pozostało. Bolek, zarazem szef „Nietoperzy", nazywał się Czarniak, wiadomo dlaczego, rzeczywiście był czarny, Jacek był teraz Michałem, a Wicek Nowak przybrał pseudonim Sosna. Po co to było potrzebne, skoro i tak wszyscy się znali, tego Teresa nie rozumiała, ale Szumski tłumaczył, że w dalszych kontaktach na zewnątrz grupy, nie będzie, nie może być nazwisk, tylko pseudonimy, a takie kontakty nastąpią, może zresztą trzeba będzie pójść do oddziału leśnego, gdy ziemia spali się pod nogami, gdy Kuba wróci lub da znak. Ale Kuba wciąż nie wracał i żadnych wieści nie było, Szumski robił dobrą minę, uspokajał Nietoperzy i siebie, ale nie potrafił ukryć tego, że po urwaniu się kontaktu na Rybakówce, Nietoperze pozostali sami, nie wiadomo na jak długo.

Zdziwiła się, że drzwi zamknięte, czyżby Szumskiego nie było, a przecież kazał jej przyjść dzisiaj, znowu się pewnie coś wydarzyło złego, ale nie, słychać kroki, głos Szumskiego z sieni:

— Kto tam?

— Juanita.

— Gości mam — wprowadził ją do sieni.

„Kuba", przemknęło jej przez uradowaną myśl, „Kuba nareszcie". Ale to nie był Kuba, dwoje ludzi w mundurach Wehrmachtu, nie golonych Bóg wie od jak dawna, patrzyło na nią nieufnie.

— Niemcy? — zdziwiła się Teresa.

— Niemcy też ludzie — powiedział jeden z obcych po polsku i teraz przestała cokolwiek rozumieć, przebrani partyzanci, czy jak, a może jeńcy wzięci przez partyzantów.

— Pokażcie czy nie jesteście SS — powiedział Szumski i tamci jak na komendę porozpinali bluzy, obnażyli włochate piersi, Teresa spuściła oczy, zawstydzona.

— No, tak — mruczał Szumski — ale kto was tu do mnie przysłał, akurat do mnie

— Nikt. Dom na uboczu, samiśmy przyszli.

— Ale tu miasto. Nie bezpieczniej to na wsi, bliżej lasu, co?

— Na wsi nie chcieli nas przyjąć. Nikt nie wierzył. Jedni chcieli nas... Khit — pokazał ręką na gardło.

— Zwiali od Hitlera — zwrócił się Szumski do Teresy — antyfaszyści. Ten jeden ze Śląska jest.

— Jawohl — przytaknął ten, który dotąd milczał, młodszy od Ślązaka — wir sind Kommunisten.

Teresie przyszło na myśl, że przecież mogli wcześniej przejść na stronę rosyjsko-polską, nie czekać, aż Hitler zacznie dostawać lanie. Szepnęła o tym Szumskiemu na ucho.

— Myślałem o tym, myślałem też, to jednak chyba nie takie proste. Wiesz, oni mają w wiadomym miejscu pełne uzbrojenie, to dla nas ważne, bardzo ważne.

Teresa nie wiedziała co o tym myśleć, więc powiedziała:

— Przyszłam po te ulotki.

Wziął ją Szumski pod rękę, wyprowadził do sionki, zamknął za sobą drzwi.

— Nie ma propagandy. Butrym nie wrócił z okręgu.

„Butrym? Butrym? — szukała w pamięci takiego nazwiska, nie znalazła jednak, nie wiedziała o kogo chodzi.

— Nie musisz wcale wiedzieć, dziecko, on też nie wie, jak dotąd kto to są Nietoperze. I najlepiej żeby Czarniak tu przyszedł.

— Sam?

— A gdzie on jest?

— Wszyscy są nad stawami plebańskimi.

— Niech przyjdą wszyscy.

— Zaraz?

— Lepiej wieczorem. Ja tych tutaj do wieczora przetrzymam, odpoczną sobie.

W podnieceniu i z rosnącym niepokojem czekała Teresa wieczora, zastanawiała się czy nie iść wcześniej do chłopców, powiedzieć im o wszystkim, zrzucić z siebie to napięcie. Perswadowała sobie, że chłopcy przecież przed wieczorem przyjdą, nie należy chodzić za ich śladem, oni zapewne w krzakach rozbierają i składają karabiny, to było teraz ich pasją. Pozostała niespokojna i podenerwowana. Mama

BOGUSŁAW KOGUT

ODSIECZ

(Fragment powieści pt. „Nietoperze", wyróżnionej w konkursie Wydawnictwa Ministerstwa Obrony Narodowej).

pytała troskliwie, czy jej co nie dolega, wykręciła się bólem głowy, migreną. Po obiedzie, kiedy mama poszła do kościoła na nieszpory, Teresa została sama. Patrzyła oknem na opustoszałą ulicę, ale tamten obraz z przedpołudnia wciąż powracał przed jej oczy, dwaj dezerterzy i zasępiony Szumski, obnażone torsy Niemców na świadectwo, że nie są z SS, zmęczone, szare twarze, omszałe zarostem, to było coś bardzo przygnębiającego. Jakoż zobaczyła ich rzeczywiście i najpierw nie chciała uwierzyć własnym zmysłom, uszczypnęła się w policzek, ale majak nie zniknął. Przodem szedł Szumski w towarzystwie tych dwóch, już byli ogoleni, to zauważyła od razu, ręce wszyscy mieli związane z tyłu, za nimi trzech Własowców z automatami gotowymi do strzału, ich buty waliły o bruk przeraźliwie głośno, nie szli trotuarem chodnika, tylko środkiem ulicy; Szumski spojrzał w jej okno, ale zaraz odwrócił twarz i w tym momencie przestrach i zaskoczenie minęło, tylko ból, zimny ból w krtani, w pobliżu serca; patrzyła wciąż za nimi, nie skręcili w ulicę, która wiedzie do drogi na Kierkut, więc nie rozwalą ich zaraz, poprowadzą do żandarmerii, która mieści się w Rynku obok Arbeitsamtu, zatem jest jeszcze czas, żeby coś robić, a Teresa już wiedziała co robić należy.

Biegła nad księże stawy najprędzej jak mogła, już brakowało jej tchu, a w piersi paliło ogniem, ale nie przystawała aż znalazła się w kępach olszyn, tu zatrzymała się i zdyszanym, urywanym krzykiem zawołała:

— Hoop — hoop!

Echo poleciało po gęstym zaroślu niedaleko, ugrzęzło, cisza. — Hoop — hoop! Czarniak! Czarniak!

— Cicho tam! — nie rozpoznali kto to wołał, ale umilkła, potem zobaczyła nadbiegającego Bolka.

— Co się stało?

W paru zdaniach opowiedziała co zaszło, ręce przyciskając do lewej piersi, bo serce zachowywało się tak, jakby chciało uciec na zewnątrz ciała.

— Trzeba ich odbić — zdecydował Bolek.

— Stamtąd? — zdziwił się Jacek — Oszalałeś?

— Cicho. Oni ich poprowadzą na Kierkut, jeszcze przed wieczorem, to jest całkiem pewne.

— I po drodze? — Wicek był spokojny, jakby nic się nie stało.

— Z zasadzki na Kierkucie, z zasadzki zawsze ma się przewagę.

— Żeby mieć choć jeden automat — westchnął Jacek — choć jeden. Oni jak zaczną siać! A my puk, puk.

— Oni nie przyjdą całym plutonem — tłumaczył Bolek — o tym dobrze wiecie. Nikt im tu dotąd w tych egzekucjach nie przeszkadzał. No i nie ma ich za wielu, prawda! Trzech ich szło, Własowców.

— Trzech — przytaknęła Teresa.

— Przyjdą więc w trzech i ten chudy SS-man jako mistrz ceremonii. Trzy celne strzały z zasadzki, to ilu ich pozostanie? Ilu?

— Żadnej akcji nie mieliśmy robić bez wiedzy Szumskiego — powiedział Wicek.

— To idź pytaj się Szumskiego.

— To Jacek — no idź!

— Prawda, wyleciało mi z głowy.

— Ja pójdę z wami — prosiła Teresa.

— Pójdziesz do domu.

— Ja tam nie wytrzymam. Ty byś wytrzymał?

— Nie możesz iść.

— To zostanę tutaj.

— Oszalałaś?

— A po strzałach, to pójdę na Kierkut.

I została.

Oni poszli spiesznie w kierunku żydowskiego cmentarza. W drodze Bolek postanowił, że trzeba Własowców zaskoczyć przy wejściu, gdyż na samym Kierkucie nie wiadomo gdzie się zaczaić i, w razie czego, odwrót utrudniony.

Droga z miasta na cmentarz wiodła nisko polami i potem pod górkę, gdzie wśród wiekowych drzew, w okolu wysokiego muru panował spokój, wyniosły, uroczysty. Bolek pamiętał ten spokój Kierkuta jeszcze z czasów, kiedy przychodził

(Ciąg dalszy na str. 4)

„PO RAZ DZIESIĄTY NADPŁYNIE KRA"...

W pierwszą rocznicę śmierci K. I. Gałczyńskiego, Artur Międzyrzecki pisał: — „*Czas biegnie szybko, drzewa w Alei Róż rozkwitły i zrzuciły liście, pękła i znów się zbiera kra na Wiśle, znowu poranki są mroźne, takie jak ten, który przyniósł nam wiadomość o zgonie Gałczyńskiego, wiadomość tak zaskakującą, że aż niepojętą i trudną do zrozumienia*".

W przeddzień tej śmierci późnym wieczorem rozmawiałem telefonicznie z Konstantym. Zapraszał na dobrą herbatę i Bacha. Odmówiłem, siąpiła grudniowa mżawka, nie chciało się wychodzić z przytulnego mieszkania. Nazajutrz, w niedzielę o siódmej rano, w ów mroźny poranek, zatelefonował do mnie Stanisław Ryszard Dobrowolski, sąsiad Gałczyńskich: — *Przyjedź natychmiast, Konstanty nie żyje!*

Czas biegnie szybko. Po raz dziesiąty od tamtego poranka drzewa tracą liście, niebawem po raz dziesiąty nadpłynie kra na Wisłę i będzie, jak w „Pieśniach": — „*Na Moście Poniatowskiego wiatr śnieg ukośnie rozkłada, na Moście Poniatowskiego śniegiem kurzy balustrada...*" — A kilka linijek dalej, w tymże fragmencie „Pieśni" — „*Niewiele ludzi zgromadził przystanek autobusowy: tylko nas dwoje. Stoimy przy tym przystanku nad rzeką — dwoje ludzi w głębi zimy, jak w głębi lasu białego*"...

Czy to nie echo, któregoś zimowego wieczora, gdy odprowadziłem go na przystanek autobusowy przy Solcu na Moście Poniatowskiego? Być może. Ale gdyby epizod ów powtórzył się dziś — z tego właśnie przystanku widać dookoła nową dzielnicę wieżowców i bloków, dworzec Powiśle, domy, których wówczas nie było. Zobaczyłoby się dzisiejszą Warszawę, dla której dziesięciolecie jest epoką, Warszawę rozrosłą, szeroką, uporządkowaną, nie miasto stołeczne, jakim wówczas była, lecz już niemal metropolię.

Czas biegnie szybko. Gdyby Konstanty odwiedził teraz Szczecin, gdzie w 1947 roku napisał wiersz, zaczynający się od zwrotki: „Naprzeciw mojego okna w mieście Szczecinie złoci się w słońcu jemioła, a obłok przy niej" — zobaczyłby taką samą jemiołę i taki sam obłok, lecz maluchy, które biegały wówczas po zacisznej uliczce Curie - Skłodowskiej na Pogodnie są dziś studentami, lekarzami, inżynierami, pracownikami największego portu polskiego. Możliwe, że niejeden z tych maluchów pracuje dziś przy budowie pięknego motorowca, który spłynie niebawem z pochylni Stoczni im. Warskiego. Motorowiec będzie się nazywał „Konstanty Gałczyński". A bezimienny podówczas plac w centrum Szczecina, przez który Konstanty przejeżdżał niemal co dzień tramwajem nr 1, nosi teraz nazwę Plac K. I. Gałczyńskiego.

Nic nie zmieniło się tylko w mieszkaniu, w którym dziesięć lat temu dopadła go śmierć. Jest Natalia, jest Kira. Jest — jak pisała w swym wspomnieniu Hanna Szumańska - Grossowa — „W największym pokoju kilka ładnych starych mebli, trójramienny świecznik nisko zwisający nad stojącym pośrodku stołem, w rogu pod lustrem drugi świecznik z orłem i „srebrny lichtarz nieduży z wysoką świecą szkarłatną" na półce z książkami, pod portretem Szekspira. Świece naprawdę „służyły do koncertów", przyświecały długim godzinom muzyki płynącej z adapteru czy radia. Muzyki, której się rzeczywiście słuchało".

Tak było za jego życia i tak samo zostało... Ale w ciągu tych dziesięciu długich lat przybyło Alei Róż narastające z dnia na dzień archiwum-muzeum. Długi szereg książek, wydań pośmiertnych. Przybyły tomy jego wierszy w przekładach rosyjskich, czeskich, słowackich. Narasta z dnia na dzień ilość kopert i segregatorów z wycinkami prasowymi z Polski i zagranicy. Recenzje z jego książek, niezliczone sprawozdania i komunikaty o wieczorach jego poezji, konkursach recytatorskich, inscenizacjach jego wierszy i sztuk teatralnych. Wiersze Konstantego towarzyszą nam przez radio w codziennej pracy naszego powszedniego dnia. Od czasu do czasu słyszymy jego piękny żywy głos, nagrane przez niego na taśmę wiersze — „Niobe", „Wit Stwosz". Na co dzień towarzyszy Polsce muzyka do wielu jego utworów.

Wielotysięczne nakłady Jego książek, wielesettysięczne zgromadzenia w całej Polsce słuchaczy i uczestników jego wieczorów poetyckich potwierdzają dobitnie wzrośnięcie twórczości Gałczyńskiego w ojczystą ziemię, w ojczystą kulturę, w ojczystą mowę. Jego dzieło twórcze — czy budzące zachwyt, czy wywołujące sprzeciw — od najpiękniejszych w języku polskim liryk do najbardziej jadowitej i zjadliwej satyry i groteski jest prawdziwą poezją. Z wierszy swych umiał uczynić stop tematów „poetyckich" i „niepoetyckich", codziennej naszej najzwyklejszej mowie potrafił nadać poetycką rangę, a jego podróże poetyckie są podróżami naszej wyobraźni. Językiem poezji mówił o sprawach najprostszych, jakże niezwykle poszerzając nasz widzialny świat.

Na kilka dni przed jego śmiercią przeglądaliśmy razem rosyjski przekład dzieł starożytnego filozofa tybetańskiego, Lam Rim Czen Po. Było tam zdanie: „Każdy człowiek ma swoją drogę do przebycia na ziemi, a na niej swoje ostatnie trzy kroki". Zasępił się nad tym zdaniem, rozmyślał. Miał już za sobą napisane tej ostatniej jesieni życia w „Pieśniach". „Jesteśmy w pół drogi. Droga pędzi z nami bez wytchnienia...".

Od tapczanu, na którym siedział nad książką tybetańskiego mędrca, do miejsca, na którym upadł rażony śmiercią, było niewiele więcej, niż trzy kroki. Ale to nie były ostatnie trzy kroki jego drogi przez życie.

Gałczyński wraz ze swym ogromnym codziennym i niezwykłym światem poezji będzie szedł przez miliony i miliony wzruszeń i zamyśleń, uśmiechów i łez tych wszystkich, którzy pochylają się nad jego książkami, słuchają jego wierszy, myślą jego myślami, widzą swój codzienny świat jego niezwykłymi, niecodziennymi oczami.

STANISŁAW MARIA SALIŃSKI

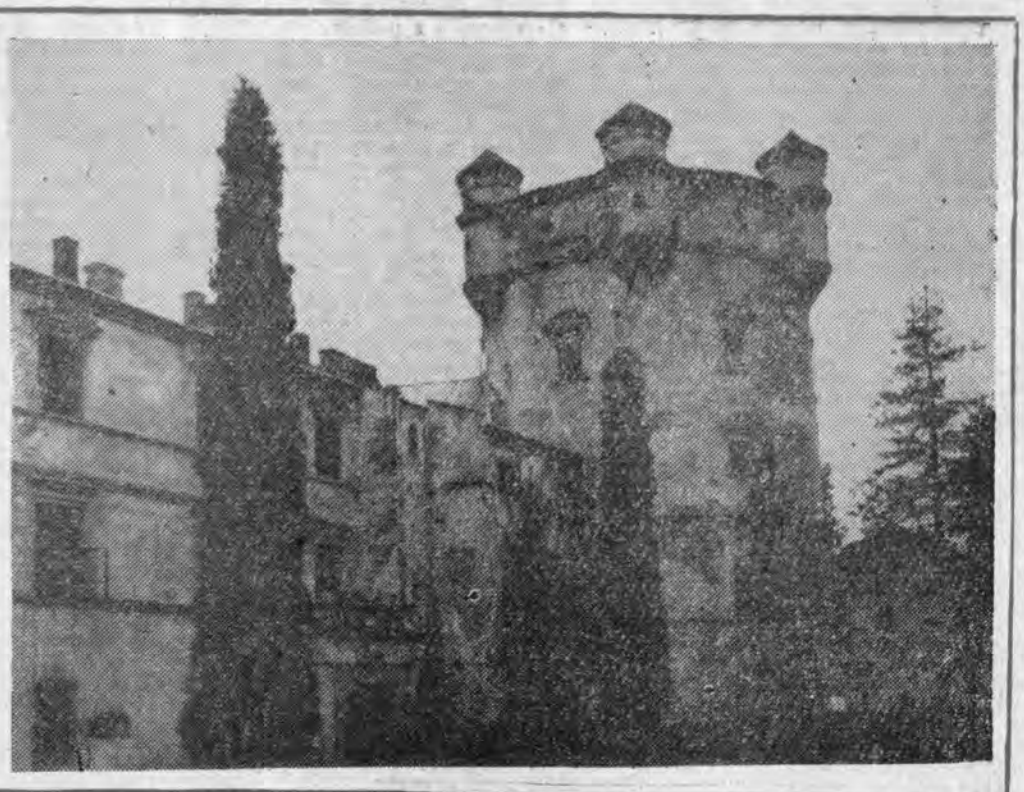

KRASICZYN Baszta królewska — elewacja wschodnia.

Fot. M. KOPEĆ

CZESŁAW KŁAK

PERYPETIE „BUŁYCZOWA"

W programie teatralnym wydanym z okazji premiery „Jegora Bułyczowa i innych" Maksyma Gorkiego umieszczono wykaz sztuk rosyjskich i radzieckich granych na scenie rzeszowskiej w latach 1944—1963. To suche zestawienie z końcową liczbą porządkową 25 przypomina, że Teatr im. Wandy Siemaszkowej ma duże osiągnięcia w upowszechnianiu dramaturgii wschodniego sąsiada. Do tradycji przeszedł już dobry zwyczaj wystawiania sztuk autorów radzieckich w każdą kolejną rocznicę Wielkiej Rewolucji Październikowej. W tym roku wybrano Gorkiego. Nie po raz pierwszy. Po „Mieszczanach" i „Matce" adaptowanej przez Jerzego Pleśniarowicza przyszła kolej na „Jegora Bułyczowa i innych". Słusznie.

Wielki temat: moralny rozkład mieszczaństwa (burżuazji) frapujący Gorkiego w różnych okresach jego twórczości, w sztuce tej został przedstawiony w sposób niezwykle ostry i drapieżny. Autor dokonał niejako wiwisekcji zgangrenowanego organizmu społecznego. Pokazał galerię odrażających typów ludzkich, którym obca jest uczciwość. Na oczach nieuleczalnie chorego Bułyczowa, rodzina, ta najmniejsza mikrostruktura społeczna, ordynarnie targuje się o schedę. Wszelkie środki prowadzące „do celu" są dopuszczalne: kłamstwo, obłuda, szantaż. Jedynie Szurka, nieślubna córka Bułyczowa i pokojówka Głafira oszczędzają pana domu. Współczują mu, chcą go wyrwać z sieci zastawionej przez Ksenię, Miełanię, Warwarę i jej męża Zwoncowowa, Dostigajewa i innych. Jest już jednak za późno. Wie o tym najlepiej Jegor Bułyczow, człowiek, który u schyłku życia zrozumiał, że zamieszkał na „obcej ulicy". Zgromadził duży kapitał, oderwał się od ludu, z którego wyszedł, ale przegrał życie. Pozostała mu tylko gorzka, gryząca świadomość kupca i przedsiębiorcy, że pieniądze demoralizują ludzi, wyzwalają zwierzęce instynkty. Bułyczow rozumie, że świat, który go otacza, który on sam reprezentuje ginie bezpowrotnie, że znalazł się na krawędzi przepaści i musi runąć bo nikt i nic nie może powstrzymać biegu historii. Dramat Gorkiego jest wielką metaforą. Pokazując patologiczny stan mieszczańskiej rodziny daje świadectwo rozpadu ustroju kapitalistycznego. Siła jego oddziaływania tkwi jednak nie w symbolice, lecz w realistycznym rysunku psychologicznym portretów bohaterów sztuki.

Teatr rzeszowski przygotowywał „Bułyczowa" pośpiesznie. Dramat wszedł na afisze jako trzecia pozycja repertuarowa sezonu. Na macierzystej scenie wystawiono go zaledwie dwa razy. Nie było więc czasu na wprowadzenie koniecznych poprawek i wyrównanie poziomu gry aktorskiej. Tym niewątpliwie należy tłumaczyć nieprzychylne przyjęcie przedstawienia na II Ogólnopolskim Festiwalu Sztuk Rosyjskich i Radzieckich w Katowicach. Główny zarzut krytyki sprowadza się do tego, że reżyser Stefan Winter podchwycił „symboliczne i naturalistyczne skłonności Gorkiego". Zapewne „Jegora Bułyczowa" można było zaaranżować inaczej, wydobyć upiorność postaci wewnętrznymi środkami wyrazu, ograniczyć działanie kostiumu i maski, wreszcie cały dramat osadzić w bardziej oszczędnych, nie stereotypowych dekoracjach. Byłby to twórczy wkład w sceniczne dzieje utworu. Stało się inaczej. Rzeszowskie przedstawienie mieści się w ramach teatru tradycyjnego, w pewnym sensie mieszczańskiego. Ten styl razi już współczesnego widza i nie wciąga w orbitę spraw dziejących się na scenie.

Niezbyt szczęśliwa koncepcja inscenizacyjna zrealizowana została jednak konsekwentnie, dzięki czemu spektakl zupełnie przeciętny miał kilka walorów dodatnich: był czytelny i jednolity w fakturze.

Na przedstawieniu premierowym dobrze ze swych zadań aktorskich wywiązali się: Stefan Winter jako Bułyczow, Lidia Maksymowicz w roli Szurki, Celina Klimczak odiwarzająca postać Głafiry oraz Zdzisław Kozień w roli popa Pawlina.

Bułyczow w interpretacji Stefana Wintera był głęboko ludzki. Cierpiał nie tyle z powodu dolegliwości żołądka, ile na skutek sytuacji, w jakiej znalazł się u schyłku życia. Świadomy swej klęski, trzeźwo oceniał poczynania „najbliższych", brutalny i łagodny, cyniczny i dobroduszny reprezentował postawę człowieka, który nie może zawrócić z obranej przed laty drogi.

Lidia Maksymowicz przedstawiła Szurkę jako niespokojną i kapryśną pensjonarkę o nieprzeciętnych walorach serca. Na przemian podniecona i czujna, nieufna i nadmiernie wylewna utrafiła w klimat roli.

Celina Klimczak oszczędnie, z właściwą sobie prostotą zagrała miłość kobiety z ludu, która widzi zbliżające się nieszczęście, pragnie je oddalić, jest skłonna ponieść największą ofiarę, aby oszczędzić kochankowi przykrości obcowania z jego własną rodziną.

Zdzisław Kozień zwrócił na siebie uwagę dzięki dobrym warunkom zewnętrznym i głosowym predysponującym go do kreowania roli popa Pawlina.

W sumie przedstawienie mimo braków godne jest obejrzenia. Surowa ocena krytyki winna zmobilizować rzeszowskie środowisko teatralne do podjęcia wysiłków artystycznych, które w rezultacie na przyszłym festiwalu dadzą spektakl w pełni dojrzały.

Scena z „JEGORA BUŁYCZOWA I INNYCH" M. Gorkiego. Na zdjęciu: Lidia Maksymowicz (Szurka) i Stefan Winter (Bułyczow).

Fot. ZB. ŁAGOCKI

Maksym Gorki — Jegor Bułyczow i inni. Przekład: Stanisław Brucz i Stanisław R. Dobrowolski. Reżyseria: Stefan Winter. Scenografia: Karol Gajewski. Muzyka: Tadeusz Chachaj. Udział biorą: Stefan Winter, Zofia Gorczyńska, Aleksandra Bonarska, Lidia Maksymowicz, Janina Majewska, Tadeusz Czarnowski, Marek Chodorowski, Franciszek Buratowski, Irenenesz Erwan, Irena Żuromska, Irena Chudzikówna, Ryszard Fischbach, Zdzisław Kozień, Adam Fornal, Janusz Urbański, Jadwiga Wysocka, Wincenty Zawirski, Celina Klimczak, Alina Zedroń, Józef Jachowicz, Henryk Gonda i Edward Apa.

WIESŁAW MYSŁEK

SOJUSZNICY

W prasie katolickiej, zbliżonej do episkopatu, ukazały się ostatnio publikacje przedstawiające kolaborację niemieckich biskupów i polityków katolickich z hitlerowcami jako pewnego typu kapitulację wobec nazistowskiego reżimu. Jako na jedyne źródła tej „kapitulacji" wskazano pewne cechy mające charakteryzować naród niemiecki,: przyzwoitość, lojalność, posłuszeństwo, wreszcie nacjonalizm. Natomiast przemilczano tam tak kapitalne zagadnienie dla zrozumienia współpracy Kościoła w Niemczech z hitleryzmem jak dążenie do montowania wspólnego, antykomunistycznego bloku.

* * *

Przed dojściem Hitlera do władzy wielu biskupów zajmowało wobec nazistowskiego ruchu stanowisko krytyczne. Jednak na początku 1933 r. sytuacja się zmieniła. Wzrost sił komunistycznych w Niemczech, spadek wpływów chadeckiego Centrum oraz narastanie fali walk klasowych w całej Europie skłoniły Kościół do poparcia najbardziej szowinistycznych sił imperializmu. Watykan od dłuższego już czasu Europę przyszłości widział Europą faszystowską i wspierał polityczne tendencje totalitarne. Tak było wcześniej we Włoszech, tak było później w Austrii, Portugalii, Hiszpanii i w innych krajach.

Z chwilą, gdy naziści przejęli w Niemczech władzę, czynniki kościelne zrobiły wszystko, aby ułatwić im szybkie umocnienie się wewnętrzne i zewnętrzne. W celu przełamania międzynarodowej izolacji natychmiast nawiązano z III Rzeszą sielankowe stosunki i w niespotykanym tempie opracowano oraz podpisano konkordat. W samych Niemczech pośpieszono z deklaracjami, które wpływać miały na przełamanie wrogiego do hitleryzmu stosunku licznych katolików... „cele, jakie stawia sobie narodowo-socjalistyczna władza rządowa: wyzwolenie naszego narodu — pisali we wspólnym liście pasterskim w maju 1933 r. biskupi niemieccy — zasługują na radosne uznanie katolików... wołamy o sprawiedliwość i miejsce do rozwoju (Lebensraum). Czym się skończyły te wołania o „Lebensraum", powszechnie wiadomo.

Wielu biskupów nakazało w r. 1933 odprawiać w kościołach nabożeństwa dziękczynne i opublikowa-

CECYLIA BŁOŃSKA

Martwemu miastu – pożegnanie

Świadomi literackich transpozycji, szukamy jednakże we współczesnej książce dokładniejszego obrazu znanych miejsc, miast w jakiś sposób związanych z osobistymi fragmentami naszego życia.

Znając autora książki, z pobudzoną ciekawością szukamy w jego dziele śladów osobowości, jaką utrwalił się w naszej pamięci. I tak właśnie jest z lekturą wydanych przez „Czytelnika" w 1963 r. „Zapisków z martwego miasta" Artura Sandauera, które autor opatrzył podtytułem: Autobiografie i parabiografie. Absolwenci lwowskiego uniwersytetu, studenci katedry filologii romańskiej pamiętają autora „Zapisków" jako słuchacza, o którym wówczas mówiło się, że jest niepospolitych zdolności. Przyszedł na uniwersytet z międzywojennego gimnazjum, z dyplomem maturalnym celującego ucznia. Na tej pozycji utrzymywał się przez wszystkie, niełatwe bynajmniej lata akademickich studiów. Nieco wyniosły, pozornie całkowicie niezainteresowany przelewającym się przez lokal seminarium tłumem młodzieży, skłóconej, szarpanej sztucznie podsycanymi nacjonalistycznymi wstrząsami, bójkami, burdami, siedział zatopiony w stosie książek i słowników, z niezmąconą systematycznością dokonując zapisków, na marginesie notatek kreśląc wykwintną polszczyzną przekłady łacińskich i greckich poetów.

Obraz tych lat, zaćmiony wielkim dramatem wojny, całkowicie nieomal zapomniany wśród pasjonujących wielkich spraw bieżącego 20-lecia, z dziwną siłą odżywa w fragmentach „Zapisków" poświęconych latom studiów autora. „Uniwersytet lwowski lat 1932—36, jaki poznałem — pisze Sandauer — przypominał po trosze dżunglę. Chodziło się po nim ze wzrokiem wytężonym, z napiętym słuchem: napad mógł nastąpić w każdej chwili, z każdego zakamarka. Siedząc w seminarium unosiło się chwilami głowę znad książki: z korytarza dolatywał tupot pogoni i krzyki. Wtedy znów opuszczało się wzrok ku dziejom wojny peloponeskiej, udając, że nic nie zaszło. Bo — rzecz charakterystyczna — dookoła owych awantur, których widownią był uniwersytet, panowała swoista zmowa milczenia. Ignorowali je profesorowie — zdający się nie zauważać plam krwi na podłogach sal wykładowych; ignorował rektor, który — zarządzając zawieszenie wykładów — unikał starannie wymieniania powodów, jakie go ku temu skłoniły; ignorowały również władze, kiedy rozruchy — przeniósłszy się z autonomicznego terytorium uniwersyteckiego na miasto — wyludniały przez parę dni ulice, zaludniały zaś ambulatoria i szpitale. Tak faworyzowany życzliwym roztargnieniem policji, zaabsorbowanej właśnie — w chwili, gdy za węgłem rozlegał się wrzask ulicznej awantury — spisywaniem protokołu z przechodniem, winnym nieprawidłowego przekroczenia jezdni, polski faszyzm, który w dwa lata później, w 1934 roku, miał objąć rządy oficjalnie, sprawował je już teraz faktycznie: za pomocą kastetów i pałek...".

Z tych lat datują się kontakty Sandauera z ruchem postępowym, z „działalnością wywrotową", jak usiłowały to określać ówczesne sfery rządzące. Pragnie czynnym udziałem przeciwstawić się faszyzacji kraju. W rozdziale zatytułowanym „Lwów i pierwsze kontakty polityczne" jest opis pamiętnej w roku 1936 demonstracji bezrobotnych robotników budowlanych i przypomnienie manifestacyjnego pogrzebu robotnika zabitego w czasie utarczki z policją.

Niewątpliwie skoki od autobiografii do parabiografii, wspomnienia głęboko przepojone miłością do rodziców, do rodzinnego domu, do rodzinnego miasta Sambora, przeplecione pełnymi zgryźliwej ironii i autoironii „Urywkami z pamiętników Mieczysława Rozenzweiga", czynią z książki Sandauera coś w rodzaju powieści z kluczem, do której niezbędny jest szyfr, by rozeznać się w jej pozornie prostej, a faktycznie wysoce skomplikowanej strukturze formalnej, by odczytać istotny zamysł literackiego dzieła.

Sam autor przeczuwając rozterki i wahania czytelnika, śpieszy z pewnymi wyjaśnieniami. Zawiera je motto, w którym cytując wyjątek z artykułu prasowego pisze: „...wyobrażam sobie opowieść najchętniej autobiograficzną, w której zmiennymi byłyby nie tyle style czy fakty, co tonacje. Jedno i to samo wydarzenie z własnego życia można by podawać kolejno w przyprawie niefrasobliwej lub tragicznej, realistycznej lub groteskowej. Zakładałoby to dystans i swobodę wobec własnych przeżyć, traktowanych jedynie jako materiał, któremu można nadawać dowolne kształty i „parabiografia" taka zdawałaby się biec nie tyle wzdłuż, co wszerz czasu; następstwo wydarzeń ustąpiłoby w niej miejsca i uboczności".

We wstępie do parabiograficznych pamiętników Mieczysława Rozenzweiga autor również skłonny jest do pewnych objaśnień. Tu jednakże nie tłumaczenia ewentualnej formy wysuwają się na czoło, ale istotnie dominujący nad całymi „Zapiskami" problem człowieka zrodzonego na pograniczu dzielnicy żydowskiej nędzy, ciemnoty i dzielnicy reprezentującej w niespokojnych, międzywojennych latach, na które przypada młodość autora, to co się wówczas określało mianem kultury i polszczyzny. Niewątpliwie Rozenzweig, tragiczna karykatura tego pogranicza, pragnąca gwałtownie zasymilować się w owym małomiasteczkowym świecie kultury i polszczyzny, którego towarzyskie szczyty stanowi dlań ograniczony profesor gimnazjalny, namiętny „mickiewiczolog" i jego zalotna córeczka Stasia — dziewczę jakby żywcem wyjęte z obrazka „Ułan i dziewczyna", zawierają sporą dozę bolesnych doświadczeń autora, na wieki wprawdzie pogrzebanych wraz z martwym miastem, na tyle jednak żywych, by w ironicznej autobiografii zabrzmieć nutami autentycznego cierpienia.

Nie forma świeża, w pewnym sensie zaskakująca, wymagająca od czytelnika poszukiwań klucza, decyduje o walorze „Zapisków", lecz bogactwo autobiograficznych treści, które związane z konkretnym momentem historycznym, z całą epoką, której milionom ludzi nie udało się przeżyć, stanowią w pewnym sensie monografię tego czasu: gdy z martwych miast, wznosząc swe ostatnie modły ku głuchemu niebu, tysiącami na śmierć odchodzili ludzie, gdy odbywało się „Odejście narodu" stanowiące ostatni akord „Zapisków" Sandauera.

* * *

Przed kilku laty bodaj słyszałam w radio jakiś fragment opowiadania Sandauera o tym, jak pewna rodzina w Samborze ocaliła go, przechowując u siebie do momentu wyzwolenia. Opowiadał wówczas jak wsłuchując się w odgłosy nadciągającej Armii Radzieckiej dokonywał z pamięci przekładu wierszy Majakowskiego. Jest w „Zapiskach" piękny, patetyczny opis tej, jedynej w swoim rodzaju, literackiej pracy, powiązany z gorącym, osobistym lirycznym podjęciem przez autora humanistycznych treści Majakowskiego, jako swoich, bardzo własnych.

* * *

Prasa przyniosła niedawno wiadomość, iż Sandauer mianowany został docentem na Uniwersytecie Warszawskim. Kontynuując więc działalność literacką, autor „Śmierci liberała" wraca na uniwersytet, gdzie obok dalszych badań naukowych, dany mu jest udział w wychowaniu młodego pokolenia. Można przypuszczać, iż kontakt w uniwersyteckich pracowniach, w zacisznych seminariach z twórcą „Zapisków z martwego miasta" pozwoli pełniej dojrzeć tym młodym ludziom swój obowiązek kształtowania dnia dzisiejszego. Dla nich — na szczęście — martwe miasta są już tylko historią.

NAZISTÓW

ło listy pasterskie, w których wyrażali „gorącą chęć zgodnej współpracy z hitlerowskim rządem, jako zwycięzcą nad socjalizmem i bolszewizmem" (ks. N. Cieszyński — Roczniki Katolickie na r. 1934 str. 358).

Tej linii i naczelnej zasadzie współpracy z hitlerowcami pozostali biskupi niemieccy wierni przez cały czas istnienia III Rzeszy. W 1936 r., w grudniu pisali we wspólnym liście: „Jako katolicy, gotowi jesteśmy, nie bacząc na niedowierzanie nam, oddać państwu to, co mu się należy i wspierać Hitlera w walce przeciw bolszewizmowi i w innych jego dziełach".

Każdemu aktowi hitlerowskiej agresji niemiecki episkopat towarzyszył moralnym i czynnym wsparciem, podobnie zresztą jak czyniła do dyplomacja watykańska. Każdy taki akt zbliżał przecież antyradziecką „krucjatę", wzmacniał hitleryzm militarnie i politycznie. W czasie plebiscytu w Zagłębiu Saary biskupi Trewiru i Spiry opublikowali listy pasterskie, w których nawoływali do „wierności wobec ojczyzny". Po zwycięstwie hitlerowców w tym plebiscycie w całych Niemczech zarządzono odprawienie dziękczynnych modłów. Kiedy w obliczu zbrojeń niemieckich i łamania postanowień traktatu wersalskiego wiele państw zdecydowało się na sankcje ekonomiczne, watykańska dyplomacja rozwinęła akcję dyplomatyczną na rzecz ich zniesienia. Anschluss Austrii raz jeszcze pokwitowały dziękczynne dzwony, a kardynał Innitzer, arcybiskup Wiednia, witał hitlerowców faszystowskim wzniesieniem ręki i pozdrowieniem „Heil Hitler". Wiadomo, że do monachijskiej kapitulacji swój wkład miała dyplomacja watykańska. Wiadomo też, że po agresji III Rzeszy na Czechosłowację oraz na Polskę raz jeszcze intonowano w kościołach „Te Deum laudamus", podobnie jak działo się to później po pokonaniu Francji i po napadzie na Związek Radziecki.

Polakom nie trzeba przypominać jak niemieccy biskupi, a wśród nich osławiony biskup Carl Maria Splett, współdziałali w pacyfikacji terenów przyłączonych do „Reichu", jak ograniczali prawa katolików polskich do korzystania z ojczystego języka w życiu religijnym na tych terenach, jak prześladowali polskie duchowieństwo. To są fakty powszechnie znane. I jeśli dziś ktoś określa tę kolaborację z hitleryzmem „kapitulacją", u której źródeł legło jakoby wrodzone katolikom niemieckim poczucie „przyzwoitości", to jest to po prostu fałszowanie historii.

* * *

Kościół katolicki w Niemczech nie we wszystkich dziedzinach miał z hitlerowcami stosunki sielankowe. Widział w hitleryzmie konkurenta do „rządu dusz" — konkurenta silnego, bo posiadającego bezwzględną, totalną władzę. Jeśli jednak Kościół decydował się na systematyczne popieranie tej władzy i na działanie na rzecz jej umocnienia, to u źródeł takiej postawy leżała nienawiść do wszelkich ruchów radykalnych, przede wszystkim do komunizmu. Ta nienawiść kazała niemieckim biskupom nie cofnąć się przed ryzykiem własnych instytucjonalnych strat na rzecz hitleryzmu, gdyż tylko hitleryzm, ich zdaniem, był w stanie skutecznie i zdecydowanie podjąć antykomunistyczną krucjatę. To jest cała tajemnica kolaboracji Kościoła w Niemczech z nazistami.

Warto pamiętać o tym i dziś, gdy obserwujemy ponowne zadzierżgnięcie sojuszu między rewizjonistami i odwetowcami, wśród których dawnych hitlerowców nie brakuje, a między zachodnioniemiecką hierarchią. Dziesiątki i setki rewizjonistycznych imprez zdobywa sobie kościelną sankcję. W trakcie tych imprez biskupi raz jeszcze wznoszą hasła „Lebensraumu" i raz jeszcze kierują wraz z tłumami militarystów łakomy wzrok na Wschód.

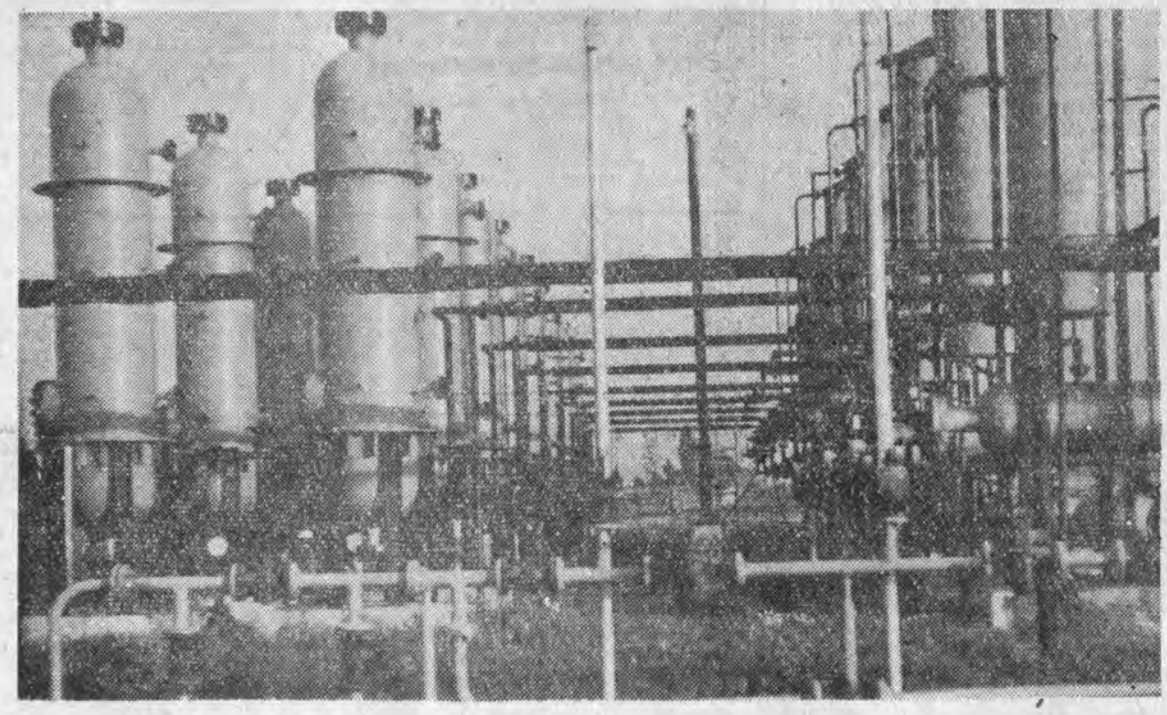

Odsiarczarnia gazu w zagłębiu lubaczowskim. *Fot. Z. POSTĘPSKI*

WOJCIECH TRZMIEL

Domy czy hotele?

Są ich w Polsce tysiące. Bez nich nie zbudowalibyśmy ani Kędzierzyna, ani Nowej Huty, Turoszowa czy Tarnobrzega. Bez nich trudno byłoby obejść się wielu naszym zakładom. A jednak — hotele robotnicze — mimo iż są nam niezbędne, że mieszka w nich bardzo poważny, choć trudny do ustalenia, procent pracowników naszego przemysłu, nie są otoczone właściwą opieką. Sytuacja ich mieszkańców bynajmniej nie jest różowa.

W Machowie pod Tarnobrzegiem tuż obok nowoczesnego Kombinatu siarkowego, długie szeregi drewnianych baraków. Niektóre z nich służą za mieszkania młodym pracownikom zakładów. Gdy w jednym z pokoi pytam o warunki mieszkaniowe, młodzi chłopcy wzruszają ramionami: „Warunki? — panie, raczej ich brak! O, tu przez te szpary zeszłej zimy koledze śnieg padał na głowę. Jak się obudził to miał dwie poduszki, jedną puchową pod głową, drugą ze śniegu na głowie. Zima była ostra, a w pokojach zimno było jak w psiarni. Zresztą i teraz też jest chłodno". — To tylko fragment wypowiedzi. Lista braków jest bardzo długa, zbyt długa, aby można ją było wyczerpać w tym artykule.

Większość tych chłopców jeszcze niedawno mieszkała na wsi z rodzicami, kończyła szkoły zawodowe. Niedawno rozpoczęli nowe życie. Warunki, w jakich znaleźli się w Machowie, a zresztą nie tylko tam, na pewno nie są zachęcające. A przecież sprawy bytowe muszą rzutować na postawę tych młodych ludzi. Na pewno w czystym, ładnym, dobrze urządzonym hotelu będzie ona diametralnie różna niż w brudnym zaniedbanym baraku. Ale problem hoteli robotniczych to nie tylko sprawy warunków mieszkaniowych. Hotele to ogromne skupisko młodzieży. Czy są one dla nich tylko domami noclegowymi czy też domami przez duże „D", gdzie młody człowiek może po pracy znaleźć wypoczynek i rozrywkę, możliwości nauki i rozwoju kulturalnego. Czy wykorzystujemy właściwie ogromną szansę, jaką jest takie skupisko młodzieży dla odpowiedniego ich wychowywania, kształtowania poglądów, postawy?

Niestety, te sprawy leżą zupełnie odłogiem. Nie interesują one nikogo, ani dyrekcji poszczególnych zakładów, ani rad zakładowych, czy też, co jest najbardziej dziwne — poszczególnych komitetów ZMS. „Gdzie nas nie ma jest wróg". — Stare to hasło, ale wciąż jeszcze aktualne. Aktualne — bo w hotelach wszechwładnie panuje nuda, pesymizm, brak zmian na lepsze. Nie dziwmy się zatem, że role wychowawcy i nosiciela rozrywki przejęły okoliczne knajpy. Wolne popołudnia wypełnione są gwarem w zadymionej sali pobliskich restauracji, przy stoliku, na którym obowiązkowo stoi ćwiartka, „pół basa", czy jakaś inna ilość naszego narodowego napoju. Tak jest prawie wszędzie.

Tu, w Rzeszowie w hotelu WSK nie ma prawie ani jednego pokoju, z którego przynajmniej jeden mieszkaniec nie kontynuowałby nauki. Ale kierownictwo hoteli nie pomyślało nawet o tym, by stworzyć im jakieś warunki do kształcenia, by zapewnić choćby jeden cichy pokój. Hasła „Polska krajem ludzi kształcących się", „Każdy podnosi swoje kwalifikacje" — na pewno nie jeden raz były wypowiadane przy przeróżnych okazjach. Ale kiedy jest konkretna możliwość pomocy w tym kierunku, to wtedy nikt z niej nie korzysta.

Rok temu Komitet Wojewódzki ZMS — organizacji, której sprawy hoteli robotniczych powinny być szczególnie bliskie, zwołał nawet specjalną naradę i powziął uchwałę — ale widocznie na naradzie i uchwale się skończyło, gdyż efektów pracy ZMS w tej dziedzinie w ogóle nie widać.

A zrobić można bardzo dużo. Przede wszystkim mieszkańcy hoteli muszą spośród siebie mieć przedstawicieli we władzach zakładów pracy — tak aby sprawy bytowe nie były traktowane lekceważąco i po macoszemu. Trzeba opracować wspólny plan działania organizacji młodzieżowych, kulturalnych i sportowych. Musi być on konkretny i atrakcyjny.

Pole do działania jest ogromne. Form też na pewno o wiele więcej. Zresztą nie moją jest rzeczą podawanie dokładnej receptury. Chodzi mi raczej o rozpoznanie choroby, która zagnieździła się wśród ludzi, którzy powinni dbać o prawidłowy rozwój hoteli robotniczych. Nazwę ją z n i e c z u l i c ą. Znieczulicą na wszystko co nie jest bezpośrednią produkcją, niezrozumienie, że warunki w hotelach robotniczych jakże mocno wpływają na fluktuację załóg, odbijają się na pracy młodych robotników, na ich świadomości i postawie. A przecież lepiej stosować szczepienia — niż walczyć z epidemią. Łatwiej pomóc mieszkańcom hoteli niż mobilizować społeczeństwo do walki z chuligaństwem, ferować wysokie wyroki sądowe, a rolę wychowawcy przekazać więzieniom.

Zatem zastąpmy znieczulicę zaangażowaniem. Zaangażowaniem w konkretną, codzienną działalność. Hotele robotnicze czekają...

TADEUSZ PIEKŁO

Rozświetlanie nocy

ruszam w podróż wewnętrzną
nieruchomą bardzo
zamknięty w nagłej chwili

aby móc rozjaśnić
bliską czerń krajobrazów
przechodzących obok
nieznanych i spojrzeniem
nieskażonych teraz

(jeśli oczy radaru pominąć)

ruszam w podróż śródnocną
by wrócić do siebie .

elementy

tu są: ludzie stłoczeni
i poustawiani ciasno
jeden przy drugim
i jeden nad drugim
ludzie przywarci
ludzie rozłączeni
smutni i śpiący
czuwający długo

są tu: wieże wiekowe
katedry wyniosłe
wrony dzwonnic strażniczki
szybki szelest szczura
w starym zeschłym listowiu
i słowik przy róży
a dalej cienie domów
mroczne gardła okien
skrzypienie bram
trzask kroków
w wymarłej ulicy

a są: owady dróg
pędzące z krzykiem świateł
ekskrementy w atomy rozbijane pędem
gwizd rakiet woda rozpryśnięta w warkocze za rufą
pełzanie samolotów po czarnym dnie nieba

Tu jest: Świat
ziemia woda i ogień

abecadło pośpiechu

aby noc zgłębić
potrzebny jest pośpiech
pośpiech jest zatem

czas posądzając o pośpiech nadmierny
własne mijanie osądzamy tylko

świat bez człowieka
jest coraz wolniejszy
nieśpiesznie gaśnie słońce zwalnia obieg ziemia
a człowiek śpieszy się

czy z przerażenia

śpieszy się do: wygody pracy interesów
jadła i odpoczynku
rozrywki
do uczuć
(które szybko maleją w mijaniu lat płoną)
do snu nocnego
i do snu wiecznego
do powrotu w kwitnienie i obumieranie

pośpiech ów klucz do narastających lat naszych
otwierając zamyka oczy oślepia je
rozsadza czas od wewnątrz
jest rzeczą człowieczą

metale

w tej zardzewiałej od księżyca porze
rdzewieją w ciszy metale

kościec konstrukcji przyziemnych i wzniosłych
broń i narzędzia i krzyże cmentarne

rosa rozpuszcza farby
śnieg je łuszczy
spragnione ciała metali obnaża
i to się staje co jest nieuchronne
łączy się z sobą Ziemia Woda Ogień
w harmonii znowu przywracając szorstkość
rzeczom zbyt gładkim kształtom nazbyt ludzkim

niszczeje wszelka pomyślana trwałość

metal
narzędzie do łupania czasu
tępieje w czasie
nie dokona rzeźby

ona ustanie w połowie myślenia
jak wszystko co jest dane ludzkim rękom

kamienie

ściśnięte z sobą
trwają w niemej trwodze
ciało szkła
domów mięśnie
skóra miast

kamienie

osypują się w siebie
ciężarem gniecione
pomniki góry rzeźby na człowieczą chwałę
rwane z wnętrza
gwałtownym ogniem dynamitu
obnażają swój krwiobieg
skamieniały w chłodzie

są najpierwszym narzędziem
i chlebem dla głodnych

spięcie

w tym rumowisku ładem je
poddany rzeczom
rzeczy stwarzający

ciąży ku innym
z kamieniem ze spermą
pośród zbóż żółtych i drzew owocowych
z kosą z maszyną z pistoletem w rękach
z łzami z goryczą
ze śmiechem
ze zdradą

odliczający dni miesiące lata
drobnymi niby paciorki różańca
sukcesami klęskami

on rodzący dzieci
ulatujący ku gwiazdom
w mozole

podległy chwili i niebu i światu
w splątanym labiryncie
człowiek

* * *

podróż kończący pośpieszną dostrzegam
pół świata w słońcu i pół świata w nocy
szybkie oddechy niemowląt
chłód ziemi
warkot motorów zestrojony pewnie
z przedrannym śpiewem skowronków

JULIAN RATAJCZAK

Po dwu latach

Celem tzw. kolbuszowskiego eksperymentu zapoczątkowanego przed dwoma laty było stworzenie w wiejskich szkołach lub bibliotekach ośrodków oświatowo-kulturalnych, zapewnienie mieszkańcom wsi optymalnych warunków dla podnoszenia wiedzy fachowej i ogólnej oraz udziału w różnych formach pracy kulturalnej. Czy cel ten został osiągnięty?

Aby odpowiedzieć na to pytanie odwiedziłem szereg wsi kolbuszowskich. Wnioski wydają się oczywiste: jeżeli praca oświatowa przebiega w zasadzie zadowalająco, to sprawy kulturalne są traktowane dość ulgowo i to w większości miejscowości.

Rok 1961, pierwszy rok trwania eksperymentu, pochłonął poważną sumę 1.603.814 zł. Do chwili obecnej ośrodki powstałe w ramach eksperymentu posiadają łącznie 17 projektorów filmowych i 14 telewizorów, nie licząc odbiorników radiowych, gramofonów elektrycznych, punktów bibliotecznych i czytelnictwa prasy oraz koniecznego wyposażenia świetlicowego.

Przykładem dobrej pracy oświatowej jest Kolbuszowa Dolna. Dużym zainteresowaniem cieszą się wśród mieszkańców wioski wykłady na Uniwersytecie Powszechnym, różnego rodzaju kursy i prelekcje. Praca kulturalna natomiast sprowadza się do oglądania programów telewizyjnych i wyświetlanych własnym projektorem filmów oraz uczestniczenia w wieczorkach tanecznych.

Analogiczną sytuację można zaobserwować w Siedlance, Mechowcu, Hadykówce, Przyłęku, Komorowie, Mazurach, Posuchach i innych miejscowościach. Różnica w formach pracy polega właściwie tylko na tym, że nie wszędzie działa Uniwersytet Powszechny, a jego brak rekompensuje wzmożona „konsumpcja" programu telewizyjnego. Gdy program ciekawy, to i cisza na sali panuje wzorowa. W razie programowego niewypału uczestnicy posiedzeń przed telewizorem rozpoczynają zajęcia własne, polegające bądź to na swobodnej wymianie poglądów (czyt. ploteк), bądź też na grze w karty czy oglądaniu fotosów gwiazd filmowych.

Ośrodek w Raniżowie wykazywał się w latach ubiegłych dość znacznymi osiągnięciami. Dla obecnego kierownika szkoły ideałem zdają się być miejscowości posiadające w przeciwieństwie do Raniżowa — aparaturę projekcyjną. Reaktywowanie działającej do niedawna i mogącej się poszczycić dobrymi wynikami sekcji ciężarowej LZS schodzi na plan dalszy... Na szczęście planuje się utworzenie spośród uczniów Szkoły Przysposobienia Rolniczego kółka teatralnego — oby nie pozostało to tylko w sferze projektów!

We wszystkich tych miejscowościach można mówić wyłącznie o biernym korzystaniu z dóbr kulturalnych (i to tych najatrakcyjniejszych, filmowo-telewizyjnych), nie zaś o twórczym stosunku do własnych kulturalnych tradycji. Trudno przecież za twórczość kulturalną uważać śpiewy solo i chóralne po opuszczeniu gospody... A region lasowiacki posiada tak piękne tradycje!

Kiedyś w Siedlance działał zespół artystyczny. Niestety, zastąpiła go telewizja! Kierownik szkoły w Kolbuszowej Dolnej uważa przejawy bierności kulturalnej za prawidłowość budzącą uzasadniony optymizm. Twierdzi on, że objawem pozytywnym jest rezygnowanie z artystycznych aspiracji na rzecz odbioru gotowej strawy kulturalnej, bo wiejski teatr nigdy nie osiągnie poziomu Teatru Telewizji. W związku z tym nasuwa się przekorne pytanie czy orkiestra symfoniczna, której poziom odbiega nieco od poziomu np. orkiestry Filharmonii Nowojorskiej, ma zawiesić instrumenty na kołku i ograniczyć się wyłącznie do słuchania muzyki z płyt?

Jest jeszcze jedna kwestia godna uwagi. Nic nie przyciąga tak bardzo uwagi mieszkańców wioski, jak występy przygotowane przez ich znajomych i krewnych. Wykazała to praktyka Niwisk i Nowej Wsi. Tamtejsi kierownicy szkół (poza działalnością oświatową) potrafili połączyć odbiór produkcji artystycznej w telewizji czy na ekranie z organizowaniem własnej, regionalnej działalności kulturalnej. I o dziwo, ich praca nie tylko przynosi efekty, ale posiada również wszelkie szanse rozwoju. Małżeństwo Decowie w Niwiskach i Julian Tunik w Nowej Wsi stworzyli zespoły śpiewacze i estradowe, które umilają czas mieszkańcom nawet dość oddalonych wiosek. W czasie najcięższych mrozów ludzie wędrowali po kilka kilometrów, aby obejrzeć występy zespołu z Nowej Wsi. Nie wiem czy skłoniłaby ich do czegoś podobnego najatrakcyjniejsza „Kobra"...

Wypada tutaj wspomnieć również o ośrodku w Sokołowie, który potrafi przygotować dobry program artystyczny na obchody uroczystości państwowych w powiecie.

Przykład Sokołowa, Nowej Wsi i Niwisk wykazał, że założenia eksperymentu są słuszne i dadzą się w całej rozciągłości zrealizować. Oczywiście uczestniczenie wyłącznie w oglądaniu programu telewizyjnego jest zjawiskiem pozytywnym chociaż by przez to, że powoduje spadek frekwencji w gospodach. Jednak wydaje się, że model realizowany przez trzy wymienione ośrodki jest najsłuszniejszy.

* * *

Osobne zagadnienie stanowią Korczowiska. Lasy otaczają zewsząd kilkadziesiąt hektarów piasków, na których przycupnęło dziewięćdziesiąt gospodarstw. Watahy dzików niszczą uprawy, a lisy pustoszą wiejskie kurniki. Do Raniżowa jest stąd 12 km, do najbliższego przystanku PKS w Zielonce około 9 km.

Trudno byłoby przedstawić wyniki i perspektywy pracy oświatowej nie wspomniawszy o istotnych przemianach, jakie tutaj się dokonały. Dotarcie do Korczowisk w okresie wiosennych lub jesiennych roztopów stanowiło do niedawna nie lada problem. Wieś była praktycznie odcięta od świata, również i w czasie zimy, kiedy to kilkumetrowe nieraz zaspy śniegu stanowiły trudne do przebycia przeszkody. Jeśli dodamy do tego brak elektryczności we wsi, to otrzymamy obraz niezbyt zachęcający.

Każdy czyn społeczny posiada swoich inspiratorów. W Korczowiskach są nimi: małżeństwo Staszewscy, sołtys Wojciech Mikołajczyk oraz Jan Skiba, Jan Ożóg i Stanisław Żarkowski. Z ich inicjatywy postanowiono wybudować drogę z jednej strony do Mazur, a z drugiej do Kamienia; łącznie około 5.800 m! Zniwelowano teren, w kilku miejscach nasyp drogowy wyrósł półtora metra nad poziom pola. Dotąd twardą nawierzchnię otrzymało 4 tys. metrów nowej drogi.

Czyn społeczny nie ograniczył się tylko do budowy drogi. Prywatne lasy dostarczyły słupów potrzebnych do założenia linii elektrycznej. Pracy ofiarnych mieszkańców nie przeszkodziły nawet mrozy - „zimy stulecia". Dnia 3 maja br. zabłysło wreszcie upragnione światło.

Szkoła Podstawowa w Korczowiskach nosi swoją nazwę raczej tylko dla kokieterii. Jedną izbę lekcyjną trudno przecież uważać za szkołę w całym tego słowa znaczeniu (owszem, wynajęto w prywatnym domu dwie izby, lecz mimo to naukę trzeba przeprowadzać w klasach łączonych). I ta „szkoła" stała się ośrodkiem oświatowo - kulturalnym, o którym zaczyna być głośno w powiecie. Dość wspomnieć, że z inicjatywy kierownika Staszewskiego zorganizowano kursy klasy VII dla dorosłych, które od roku 1961 do chwili obecnej ukończyło 48 osób. Poza tym 9 osób może się poszczycić ukończeniem kursu języka rosyjskiego. Ogromnym powodzeniem cieszy się szkolna biblioteka, to samo dotyczy czytelnictwa prasy. Dotąd żadna z organizowanych stosunkowo często prelekcji nie miała frekwencji niższej aniżeli 30 osób. Wyniki pracy oświatowej są widoczne; horyzonty myślowe mieszkańców wioski są często o wiele szersze aniżeli mieszkańców niektórych miejscowości szczycących się kulturalną tradycją. Przejawy fanatyzmu należą tutaj do legendy, nie ma mowy o przesądach. W wiosce, która dopiero w bieżącym roku otrzymała elektryczność...

Perspektywy Korczowisk stały się dzięki wspólnemu wysiłkowi wszystkich mieszkańców dość nęcące. Ukończenie drogi stworzy możliwości do szybszej budowy nowej szkoły, łatwiej dotrze tu kino objazdowe, częstszym gościem stanie się prelegent. Mieszkańcy Korczowisk marzą o własnym telewizorze i założeniu telefonu.

Ludziom, którzy własną wytężoną pracą potrafili całkowicie zmienić oblicze swej wioski, należy życzyć, aby wszystkie ich pragnienia, jak najwcześniej się spełniły.

KAZIMIERZ MIERCZYŃSKI — artysta plastyk, dyrektor Państwowego Liceum Technik Plastycznych w Sędziszowie Młp.

Rys. J. SIENKIEWICZ

WIDNOKRĄG odpowiada

Ob. Sz. K. Dukla: Próby nadesłane do redakcji są interesujące. Widać w nich pewną dojrzałość myślową, niepokój intelektualny i sporo lirycznej ekspresji. Forma utworów jeszcze pozostawia dużo do życzenia. Trzeba popracować nad konstrukcją i słownictwem wiersza. Prosimy utrzymywać z nami kontakt.

Ob. D. G. — Rzeszów SN: Niestety, nie dojrzeliśmy w wierszu wartości artystycznych. Nieporadny i prymitywny robi wrażenie niedbałej rymowanki na zadany temat.

„Amor" z Przemyśla: To zupełnie bezsensowny pomysł z tą geografią gospodarczą w częstochowskich rymach. I dlaczego Pan to nazywa poezją? Lepiej dać sobie spokój z wierszowaniem.

Ob.Ludomir Mazela i ob. Jerzy Bauer zechcą uprzejmie przysłać do Redakcji „Nowin" swoje adresy. Chcemy wysłać zaległe honorarium autorskie.

Wyniki konkursu KKMP

Przed kilkoma dniami rozstrzygnięty został konkurs literacki ogłoszony przez Zarząd Wojewódzki ZMW dla członków Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. W wyniku oceny jury konkursu, działającego pod przewodnictwem Marii Traczewskiej, pierwszej nagrody nie przyznano.

Przyznano natomiast nagrodę drugą. Otrzymał ją **Wojciech Kawiński** z Dębicy, za wiersz pt. „Rok 1939". Dwie trzecie nagrody otrzymali: **Tadeusz Kubas** z Rzeszowa, za zbiór wierszy pt. „Panorama miasta" i **Wojciech Kawiński** z Dębicy, za wiersz pt. „Płyta wrześniowa". Ponadto jury wyróżniło wiersz **Wiesława Kulikowskiego** z Mielca pt. „Gwiazda".

Zdarzenia tygodnia

W ramach Wielkiego Festiwalu Amatorskich Zespołów Teatralnych, amatorski teatr z Klimkówki wystąpił ostatnio w Zarszynie, pow. Sanok, wystawiając sztukę Dybowskiego pt. „Ślub czystości".

* * *

Z „Fizykami" F. Durrenmatta wystąpił ostatnio w Dębicy Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej. Uczestnicząc w konkursie „Wieś bliżej teatru" Wydział Kultury Prez. PRN z Dębicy zaprosił na ten spektakl wielbicieli Melpomeny z dębickich wiosek: Parkosz, Strzegocice, Góra Motyczna i Bobrowa. Zostali oni dowiezieni na spektakl, a później odwiezieni do domów specjalnymi autobusami.

* * *

W Zakładowym Domu Kultury w Stalowej Woli odbyła się premiera „Poematu Pedagogicznego" A. Makarenki w reżyserii Józefa Żmudy i scenografii Tadeusza Grabary. Należy zaznaczyć, że jest to pierwsza premiera teatralnego zespołu młodzieżowego ZDK.

Zespół Pieśni i Tańca „Lasowiacy" ZDK w Stalowej Woli wystąpił ostatnio z kilkoma koncertami opartymi na fragmentach opery K. Kurpińskiego pt. „Zabobon czyli Krakowiacy i górale".

* * *

Ostatnio specjalna komisja powołana przez ZO Zw. Zaw. Metalowców oceniła repertuar amatorskich zespołów estradowych. Spośród zespołów zakładów metalowych woj. rzeszowskiego komisja postanowiła wyróżnić zespół starszych z dębickiej WSK oraz zespół młodzieżowy „Skra" z tego zakładu oraz zespół z Sanockiej Fabryki Autobusów.

* * *

Rzeszów odwiedziła niedawno grupa lubelskich studentów, pochodzących z Rzeszowszczyzny, zrzeszonych w Międzyuczelnianym Kole Studentów Ziemi Rzeszowskiej. Na spotkaniu rozważano możliwości nawiązania ściślejszej współpracy z naszym województwem. Padła m. in. propozycja zorganizowania w Lublinie wystawy przedstawiającej piękno, rozwój i osiągnięcia ziemi rzeszowskiej, zorganizowania cyklu spotkań z działaczami woj. rzeszowskiego w Lublinie i inne.

* * *

W Zakładowym Domu Kultury mieleckiej WSK czynna jest wystawa prac Tadeusza Przywary. Na wystawie zgromadzono około 25 obrazów mieleckiego plastyka-amatora. Tematyka, jaka zajmuje się Tadeusz Przywara to pejzaże, batalistyka z kopiowaniem niektórych znanych powszechnie dzieł malarstwa krajowego i obcego włącznie.

* * *

Staraniem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Rzeszowie redaktor Lucjan Wolanowski rozpoczął 3 XII br. cykl spotkań autorskich z mieszkańcami naszego województwa. Po spotkaniach w dniu 3 bm. w Ropczycach i Rzeszowie nastąpią kolejne w Sanoku, Brzozowie, Jaśle i Dębicy.

* * *

W Muzeum w Przemyślu czynna będzie do 16 grudnia wystawa polskiego malarstwa krajobrazowego i rodzajowego XIX wieku. Na wystawie są zgromadzone obrazy Chełmońskiego, Gielyńskich, J. Fałata, Wyczółkowskiego i innych. Wystawione w Przemyślu obrazy są wypożyczone z galerii w Sukiennicach

(Ciąg dalszy ze str. 1)

tu z kolegami bawić się w chowanego. Przed nikim nie przyznawali się do tej zabawy, potem, kiedy spokojny cmentarz stał się miejscem egzekucji, Bolek wstydził się tamtych wspomnień, sam nie umiejąc sobie wytłumaczyć motywów tego zawstydzenia. Teraz, kiedy podchodzili pod mur, nie myślał o Szumskim ani o tych, do których przyjdzie mu za chwilę strzelać, pierwszy raz w życiu strzelać do ludzi, myślał o tamtych zabawach; dzisiaj to także taka zabawa w chowanego, tylko stawka inna, nie o dropsa, lecz o życie, więcej niż o życie, na pewno więcej, chociaż to także trudno byłoby wytłumaczyć.

Po zewnętrznej stronie muru rosły kępy krzaków dzikiej róży, jedyna osłona, nieprzyjazna, pełna ostrych kolców; ulokowali się w krzakach o jakieś pięćdziesiąt kroków od bramy, była to odległość ryzykowna, ale z daleka można chybić, zwłaszcza gdy się nie jest strzelcem wyborowym, a całe strzeleckie wyszkolenie, to dziecinne strzały z wiatrówki do tarczy i do wiszących na murku flaszek. Leżeli blisko siebie z dobrym widokiem na ostatni fragment drogi, wolny od osłony drzew; słońce już dobrze zniżyło się za wysokie drzewa Kierkuta, upał zelżał, ale czas zdawał się nie posuwać, stał w miejscu i puchł jak nadmiernie nadymany balon, zdawało się go przybywać, rósł do nieskończoności i wreszcie Wicek powiedział:

— Może oni tu wcale nie przyjdą.

— Przyjdą — rzekł Bolek — muszą przyjść, oni tak prędko nie zmieniają swoich obyczajów. Więc wiecie jak jest. Ja biorę na muszkę SS-mana, a wy w tamtych, tylko nie obaj w jednego. Sosna tego co będzie najbliżej, Michał następnego. Jasne?

Wszystko było jasne dopóki na drodze nie pojawił się korowód. Co do ilości hitlerowców, Bolek nie pomylił się w swych przewidywaniach, chudy SS-man szedł rzeczywiście z trzema Własowcami, ale wszyscy oni trzymali się bardzo blisko skazanych, nieomal mieszali się z nimi i ta nieprzewidziana okoliczność stropiła Bolka, jednocześnie czuł na sobie spojrzenia kolegów, natarczywe, pytające.

— Czekać — szepnął i starł z czoła obfity pot, który zalewał mu oczy.

Bliżej wejścia odległość między eskortującymi a więźniami stała się wyraźna, Bolek rzucił okiem na profil twarzy Szumskiego, zdawała się być spokojna.

— Cel — powiedział i wziął na muszkę SS-mana — pal!

Klasnęło jakoś nierówno, jeden z Własowców padł na miejscu twarzą do ziemi, nawet rękoma nie zamachał, drugi ukląkł i bił powietrze rękami, a czarny SS-man stał wciąż i rozglądał się, jakby nie wiedział o co chodzi, to wszystko trwało bardzo krótko, jakiś strzęp sekundy, ale Bolek zdążył pomyśleć z rozpaczą: „chybiłem". Zarepetował błyskawicznie, ale oto SS-man zakręcił głową jak epileptyk i powoli, jakby układał się do snu, osunął się na ziemię. Ostatni Własowiec rzucił się w bramę Kierkuta, wtedy Szumski krzyknął:

— Padnij!

Więźniowie rzucili się w piach, ale ocalały Własowiec nie strzelał, może przyczaił się, by wziąć ich w ogień znienacka, z niewiadomej strony, albo uda się do miasta po pomoc. Schyleni pobiegli Nietoperze wzdłuż muru, już byli przy leżących.

— Rozwiązujcie — rzucił Bolek i sam rozglądał się bacznie przez bramę po terenie cmentarza, zobaczył na przeciwległym murze postać Własowca, przyłożył broń do ramienia, pociągnął za spust, ale w zamku tylko stuknęło płasko — niewypał. Tamten zniknął już za murem.

— Gonić go będziemy? — pytał Bolek Szumskiego, który miał już rozwiązane ręce.

— Chyba nie. Bo ja wiem? Tyś tu dowódca.

Szumski dyszał ciężko, ręce mu dygotały, na nich ciemne pręgi od drutu, w oczach miał chyba łzy, może to były łzy radości, a może Szumski myślał o Kubie, żałował, że jego syna nie było wśród tych, którzy go ocalili, Bolek nie widział jeszcze Szumskiego w podobnym stanie, zapewne teraz dopiero nerwy odmówiły staremu posłuszeństwa, może śmierć, do której już się był przygotował, zniósłby lepiej niż to niespodziewane ocalenie.

— Ale mamy broń! — cieszył się Jacek.

— Trzeba wiać — powiedział Bolek — byle dalej stąd, jak najdalej, oni pójdą za nami.

— I co będziemy teraz robić? — pytał Wicek.

— Później się namyślimy — warknął Bolek, już tracił cierpliwość, strach zaczął go omotywać, jeśli jeszcze chwilę tu pozostaną straci głowę. — No, już, jazda!

Szli wśród wysokich zbóż na południe, dźwigali broń zdobytą i swoją, nikt nic nie mówił, każdy przeżywał tę pierwszą bitwę w milczeniu, tylko Bolek co jakiś czas ponaglał:

— Prędzej, prędzej, słońce jeszcze wysoko!

Miał wciąż przed oczyma skręconą dziwacznie, nadmiernie długą postać SS-mana, jego twarz jakby spłaszczoną z otwartymi oczyma, twarz człowieka, którego zabił. Ile ludzi miał tamten na sumieniu? Polaków, Żydów, Rosjan? Nie jednego i nie stu, i z tej trójki rozwaliłby co najmniej jednego, pewnie Szumskiego, a może by nie strzelał, tylko przyglądał się, jak to czynią Własowcy, może by współczuł skazańcom, w ostatniej chwili ułaskawił ich; nieprawdopodobieństwo, on nie miał ani żadnego sumienia, ani uczuć ludzkich, wcale nie był człowiekiem, maszyną do mordowania, a jednak Bolek, zamiast radości, że oto zgładził takiego oberzbója, doznawał niepokoju, ciekawe co myśli teraz Szumski, na śmierć szedł ze spokojem, a skoro śmierć przeszła bokiem, stracił fason, rozkleił się, nigdy nie wiadomo kiedy, w jakim momencie napadnie człowieka chwila słabości, bariera wytrzymałości ugina się, pęka; do wojny, do śmierci własnej — kiedy czyha lub grozi wprost, do cudzej — gdy przychodzi znienacka, trudno się przyzwyczaić, decyzja, czyn, odwaga przychodzą łatwiej niż oglądanie zabitego własną ręką wroga; widać trzeba gromadzić w sobie nienawiść, by starczyło jej i wówczas, gdy wróg padnie na piach: sprawiedliwość, prawda jest tylko po jednej stronie...

Wydaje Wydawnictwo Prasowe „Nowiny Rzeszowskie" — RSW „Prasa". Adres redakcji: Rzeszów, ul. Żeromskiego 5. Telefony: redaktor naczelny 4775, zastępca redaktora naczelnego 4619 zespół redakcyjny 2056, 2057 — wewn. 198.